ROZMAITOŚCI.

Dnia 26. Lutego **Nr. 9.** **Roku 1842.**

WIÉRSZ

W PODZIĘKĘ WIELMOŻNEMU ANTONIEMU

SŁAWIKOWSKIEMU,

DOKTOROWI MED. PROFESOROWI I OKULIŚCIE KRAJOWEMU,

za przywrócenie wzroku méj matce.

Na ustach wytartych boleścią codzienną,
Na czole zawitym troską bez nadziei,
Zbudziłeś nam życie i rozkosz z kolei,
Boś swoją prawicę, anielską, bezcenną
Przyłożył na oczy, — a sztuka dojrzały —
Rzekłeś Jéj oczom — przejrzéć — i przejrzały!

Ona była mi matką — ze swym starym wiekiem
Została sama jedna, by po ciemku marzyć,
By o dawnych uczuciach ze swym sercem gwarzyć,
Bo przyszłość Ją oblokła wiecznym, czarnym stekiem,
W którym się jedna pamięć widna mogła żarzyć,
Dziś, jutro, już Jéj było niczém — chwila wiekiem.

Rękę przyjaciel podał, nie widziała dłoni,
Uśmiechem chciał okrasić Jéj myślenia ramy,
I uśmiech, pocieszyciel, nie przebłąkał do niéj,
Bo w twarzy jak w otchłani siadł smutek toż-samy,
Wdowią żałobą, wdowiéj nie popuszczał dłoni.

Ulitowałeś wdowy, — wzrok rzuciłeś w oko,
W Jéj myśl i duszę, nowyś świat ocucał,
Działałeś, czułeś po bosku — głęboko —
I nie drgnęła Ci ręka, boś nią światło rzucał.

Raz ci no — czy pamiętasz? — w objeździe po kraju,
Przyszedł do Ciebie starzec z zapadniętém okiem
Podniosłeś ramię, chcąc go udarować wzrokiem.
Chwila — i jużbyś dzieło skonał po zwyczaju.
Lecz on rzekł na poł z płaczem: »Ojcze, ja mam dzieci!«
Opadły Twoje ręce, łza Ci z oczu leci,
Skonał doktor — stał człowiek, serce wytrąciło
Naukę, i poludzku w Twojém łonie biło.
Dziś widzę tego starca, dziś Twą łzawą postać,
On nieszczęsny, dzień dłużéj musiał ciemnym zostać,
Pókiś nie zamknął serca, w oprawę nauki.*)

Wdzięczność Ci mistrzu!! bo znasz wszystkie sztuki
Któremi czucie wojować należy,
Ewanielicznie ręka Twoja bieży,
Zdzierać ślepotę — i, jak chce swięta ustawa:
»Nie wie Twoja lewica — co im czyni prawa.«

D. Magnuszewski.

---

*) Zdarzenie prawdziwe w cyrkule złoczowskim.

OBRAZ ZŁOWIESZCZY.

(Dokończenie.)

Trzeciéj niedzieli usłyszałem, jakem się tego spodziéwał, trzecią historyję. Śmiałem się w duszy, widząc, jak mądrze mój opowiadacz ciekawość moję stopniować umiał. Piérwszy opowiadany wypadek dotyczył się fantastyka, do którego w niczém nie byłem podobny, jak tylko, żem był Niemcem. Drugi okazał mi człowieka, w którym nic nadzwyczajnego nie było, jak tylko przesadzona gorliwość jego. Jednakże wypadek taki, który się ukształconemu, rozsądnemu człowiekowi zdarzy, uważamy za rzecz naturalniejszą, a przeto bardziéj już niebezpieczną. A że ten drugi nieszczęśliwy, którego piekielny ptak zgubił, był rozsądny Niemiec: miałem więc już dwie własności z nim spólne. Jeszcze bardziéj obeszła mnie trzecia historyja, która na mnie w saméj istocie nieprzyjemne wrażenie sprawiła. Osnowa jéj była następująca:

»Gdy przed rokiem«, w ten sposób zaczął mówić *Sior Moscito*, »wojsko wasze po raz piérwszy dla uspokojenia rozruchów, do naszego miasta wkroczyło, dano także do naszego domu jednego oficera na kwatérę.

»Mężu!« zawołała moja nieboszczka żona, ujrzawszy przystojnego adjutanta przed oknami z konia zsiadającego, »patrzno, ten piękny człowiek, nie zdaje się być ludożercą!« — Chciéj bowiem *Signore* przebaczyć, gdy ci otwarcie powiém, żeśmy wszystkich Niemców, nimeśmy się z nimi poznali, za ludo-żerców mieli. Lecz wkrótce z doświadczenia powzięliśmy lepsze o nich wyobrażenie.«

Podziękowałem memu gospodarzowi skinieniem głowy za komplement, w którym może więcéj grzeczności niż prawdy było.

»Rzeczony adjutant«, prowadził *Sior Moscito* swą powieść daléj, »obrał sobie tenże sam gabinet, który *Signore* obecnie zamieszkujesz. Gdym na ten obraz zrobił go uważnym, i oznajmił mu

smutne wypadki, które z nim się łączyły, zdawał się całkiem być na to obojętnym. Trudnił się li tylko powinnością swego stanu. Czas przedpołudniowy spędzał za domem w koszarach albo na placu egzecerki; po południu siedział przy stoliku nad rachunkami. Lecz po skończonych obowiązkach służby byłto żołniérz całą gębą, to się znaczy, uprzejmy, grzeczny, wesoły, słowem kawaler, co się zowie! Nie długo trwało, a już spostrzegłem, że się miał ku mojéj nieboszce, albo raczéj prawdę powiedziawszy, że się moja nieboszczka miała ku niemu; lecz mniejsza o to, bo cały ten wypadek nie wydawał się mi być bardzo niebezpieczny, gdyż umiałem wyśledzić, iż pomimo wszelką grzeczność jego ku niéj, nie widać było, aby mój gość chciał być istotnym jéj *cycyśbejem*.

Żona moja nie bardzo była z tego kontenta, chociaż bynajmniéj na niego gniewać się nie mogła. Jednakże zdarzyło się coś, co mu bardzo za złe wzięła. Jak to się zwykle dzieje, że kobiéty o wszystkiém wiedzą, co do nich bynajmniéj nie należy; tak téż i ona wywiedziała się od przyjaciółek, że *Signor* adjutant może dla tego tylko ku niéj tak jest obojętnym, że o dwie mile za miastem odwidza potajemnie dziéweczynę, która całe jego serce posiadła. Powiedziała mi nawet, że zamyśla ją zaślubić i tylko ukończenia zamieszek krajowych i przyjaźniejszych stosunków oczekuje. Obwijała ona wprawdzie swoje uwagi w bawełnę, nadawała im ton trwożliwéj obawy, że sic adjutant na niebezpieczeństwo naraża; lecz ja poznałem bardzo dobrze, o co jéj chodziło, i zaledwie mógłem moję złośliwą radość przed nią utaić.

Prawie codziennie wyjéżdżał młody oficer do swojéj kochanéj Natalii, gdyż nawet nazwisko jéj umiała mi powiedzieć, a rozpierzchnięty nieprzyjaciel w poblizkich górach, nie przeszkadzał przez długi czas jego miłostkom.

Atoli nagle gruchnęła wieść, że nieprzyjaciel w masie na załogę naszego miasta uderzyć zamyśla. Jakkolwiek mało téj wieści dawaliśmy wiary, jednakże komendant wojska poczynił największe przygotowania. Już dawniéj wydany był rozkaz do wszystkich oficerów pułków niemieckich, aby pod żadnym względem w ubiorze cywilnym nie chodzili. Rozkaz ten późniéj tak zaostrzono, iż za przekroczenie onego, oficerów kasacyją karano. Na około miasta pociągnięto ścisły kordon, którego pod karą rostrzélania, nikomu przekroczyć nie było wolno, ktoby się piérwéj pozwoleniem dostatecznie wykazać nie mógł.

Działo się to w niedzielę. Gość mój, moja nieboszczka żona i ja, siedzieliśmy w najlepszéj myśli przy stole. Chciałem ja mówić o nowych, ostrych rozkazach, ale *Signor* adjutant unikał tego widocznie. Około godziny piętnastéj oddalił się do swego pokoju, i niebawem w cywilnym ubiorze wymknął się z domu. Ja tego nie postrzegłem, ale moja nieboszczka miała go na oku i oznajmiła mi o tém częścią z obawą, częścią z potajemną złośliwością. »Zapewne pospieszył do swojéj Natalii«, mówiła, »ale krok ten drogo przepłacić może!«

Ja nie bardzo zważałem na jéj gadaninę, gdyż nieraz plotła nie do rzeczy, poszedłem więc sobie spokojnie do kawiarni, gdzie wiele o polityce rozprawiano. Niemal przez dwie godzin zabawiałem się tamże grą bardzo zajmującą, aż oto razem powstaje na ulicy nadzwyczajne zbiegowisko, i wypędza przede drzwi wszystkich gości, którzy się w sali znajdowali.

Ale cóżeśmy tam ujrzeli! Na noszach uplecionych z gałęzi nieśli żołniérze pułku niemieckiego jakiegoś człowieka, w którym na piérwszy rzut oka, gościa mego, *Signor* adjutanta poznałem! Twarz miał jak ściana bladą, oczy zamknięte, rękę konwulsyjnie do piersi przyciśniętą, a przez liście sączyła się krew i zostawiała ślad wzdłuż całéj ulicy! Z przestrachem pospieszyłem do domu, i ujrzałem już moję żonę ze wschodów z głośnym płaczem naprzeciw orszakowi biegącą!

Żołniérze zanieśli zranionego na piérwsze piętro, żona moja i ja, nie wiedząc jeszcze właściwie, co się stało, mieliśmy wielką pracę rozganiając ciekawy, naprzykrzony tłum ludu, który z powodu tego wypadku, najdziwniejsze rzeczy sobie opowiadał.

W téjże chwili przybył lékarz pułkowy i pospieszył do zranionego. Nakoniec przywrócono spokój przed domem a ja w najtrwożliwszém oczekiwaniu, udałem się do pokoju, w którym *Signor* adjutanta złożono. Zastałem go całkiem przy zmysłach. Lékarz okładał nieustannie lodem jego piersi, które kula karabinowa przeszyła. Nie zostawało mu jak tylko kilka godzin życia. Użył ich na rozporządzenie swym majątkiem, pożegnanie się z swymi towarzyszami i udzielenie nam szczegółów o tym nieszczęśliwym wypadku, który go tak wcześnie zabiérał z tego świata.

Nieszczęsne słowo honoru było przyczyną jego nieszczęścia. Gdyż nie spodziéwając się, że wojskowe stosunki tak prędko się zmienią, dał swojéj Natalii słowo, że w następny piątek przybędzie prosić rodziców o jéj rękę i załatwi wszelkie warunki tego związku. W tymże samym czasie wydano rzeczony rozkaz dzienny, którym

nikomu, pod żadnym pozorem, oznaczonéj na około miasta linii, przekraczać nie było wolno.

Gość mój wiedział bardzo dobrze, na jakie podawał się niebezpieczeństwo; ale słowo honoru nie dozwalało mu nie dotrzymać uroczyście danego przyrzeczenia. W mundurze nie wolno mu było wyjść po za liniję. Chwycił się jedynego, ale najniebezpieczniejszego środka, wdział na siebie ubiór cywilny.

Gdy idąc z miasta, przeprawiał się przez kordon, nikt go nie zatrzymywał. Szczęśliwie dostał się do kochanki, która nie przeczuwała, na jakie się niebezpieczeństwo jéj oblubieniec narażał. Tam oświadczył się rodzicom i ułożył z nimi względem wszystkich punktów małżeństwa. Ufny w gwiazdę swojego szczęścia i uniesiony miłością, puścił się z powrotem w drogę i przybył bez przeszkody do linii strażą osadzonéj. Dla przejścia obrał sobie punkt, małą grupą drzew zasłonięty. Nie chciał on aż do zmroku czekać, wiedząc dobrze, że czaty, za nadejściem nocy, baczność swą podwoją. Niepostrzeżony dostał się już był aż po za liniję, i już zamyślał wrócić naprzód, by w pikietach utwierdził to mniemanie, że wyszedł z miasta, gdy oto w téjże chwili: »Stój, kto idzie!« straż nań zawołała!

Dopiéro w téj stanowczéj chwili poznał, jak nierozważnie sobie postąpił. Nie ważył się dać poznać, bo już samo przebranie się po cywilnemu, karą zagrażało. A gdyby stan swój zataił, postawionoby go jako podejrzaną osobę przed sąd wojskowy, a tak wszystko wydaćby się musiało. Chwycił się więc z rozpaczy ostatniego środka, postanowił uciekać; bieżąc, zboczył po za drzewa, i wtedy właśnie, gdy chciał przez rów przy gościńcu przeskoczyć, padł strzał, kula świsnęła, i na wskróś go przeszyła!

Takim sposobem poniósł okropną karę za swoje przewinienie.

Oficerowi, który go kazał zanieść do miasta, zapisał swoję szpadę, żołniérzowi, od którego kuli poległ, pełną sakiewkę dukatów, narzeczonéj darował swój portret, mnie złoty sygnet, a mojéj żonie — młynek do tarcia kawy. Ten młynek miał jakieś znaczenie.

Nigdy nie zapomnę, jak okropne sprawiło to na mnie wrażenie, gdy na pół zawarte oczy raz jeszcze otworzywszy, patrzył długo osłupiałym wzrokiem w złowieszczego ptaka, a nakoniec westchnąwszy — skonał!

Na prośbę towarzyszy zmarłego, i ze względu na nienaganne zachowanie się jego, dozwolił jenerał, aby go w nocy po wojskowemu pochowano.

Byłato właśnie noc pochmurna i burzliwa. Parny wiatr *Sirocco*, gonił obłokami po niebie. Na południowéj stronie wznosiła się burza, i wzrastającym szumem zapowiadała swe przybycie. Wynieśli trumnę. Mała tylko ilość ludzi spotkała nas na drodze, bo i ja odprowadzałem zmarłego na miejsce ostatniego spoczynku.

Głębokie milczenie panowało na cmentarzu *Santa Croce*. Nagle wiatr ucichł, żołniérze pozapalali pochodnie, kapłan odmówił ostatnią modlitwę. Z głuchym odgłosem spuszczono trumnę do grobu, przeraźliwie zatętniły piérwsze grudy ziemi. Zamiast zwyczajnych salwów, których surowa ustawą zabroniła zmarłemu, nagle z-iskrzyło się niebo i piorun uderzył, jakby oddał winną cześć zmarłemu! Skoro usypano na grobie mogiłę, wraz wychylił się z chmur księżyc i oświetlił okolicę. Śród jasnéj poświaty księżyca, wróciliśmy do domu.

Gdym wszedł do gabinetu, z którego *Signor* oficera wyniesiono, nie mogłem bez przestrachu spojrzéć na złowieszczego ptaka, a jednak właściciel domu, na ponowione zapytanie moje, odpisał mi, abym go na dawném miejscu postawił!

* * *

Sądziłem, że mój gospodarz już cały zasób swoich powieści wyczerpał, lecz on mi oznajmił, że jeszcze jednę na czwartą niedzielę zachował, a to taką, która jak się późniéj pokazało, podług mego zdania, bardziéjby na wstęp niż na zakończenie przydatną była.

»Wyobraź sobie *Signore*«, rzekł do mnie, »jakiego ten niewdzięczny koczkodan, któremu tak długo spokojnie na ścianie wisieć dozwalałem, mnie samemu figla wypłatał! Przeszłéj jesieni, gdy na błoniach przed naszém miastem odbywał się wielki popis wojskowy, na który ze wszystkich okolic kilka tysięcy wojska ściągnięto, domy nasze były prawie za szczupłe dla zmieszczenia w sobie wszystkich jenerałów, oficerów sztabowych i wielu znakomitych cudzoziemców. Dom mój dla pięknéj swéj powierzchowności i wygodnego położenia, miał nad wszystkiémi innémi piérwszeństwo, a ja postanowiłem nie zaniedbać chwili, w któréj się sposobność pięknego zysku nadarzała.

Ile w pośpiech było można, kazałem wyporządzić wszystkie pokoje, a sam ograniczyłem się na rzeczonéj izdebce i na przyległym przysionku sali. Do tego ostatniego sprowadziłem się sam z czeladzią, a rzeczony gabinecik odstąpiłem dla nieboszczki méj żony. Sądziłem, że dla niéj, nawet sam złowieszczy sęp, będzie miał uszanowanie. Ale jakież nie było moje zdziwienie, gdy nawet moja, z innych względów bardzo mocnéj konstytucyi żona, uległa zgubnemu wzrokowi tego piekielnego potworu! Jakby

z chmurą spadła na nią uporczywa febra, która już na drugi dzień niebezpieczny charakter przybrała. Nim jeszcze mógłem uczynić potrzebne przygotowania dla wyprowadzenia jéj z przybytku tego złowróżnego straszydła, już mi tak niebezpiecznie zachorowała, że ją wynieść nie było można. Podczas największéj gorączki trzymała nieustannie osłupiałe oczy swoje w tym złowieszczym obrazie! Często nawet krzywdziła mnie, utrzymując, że ten przeklęty koczkodan do mnie podobny! W tém porównaniu zawsze powracała do zmysłów, i wtedy łagodny uśmiéch osiadał na zbolałém jéj licu. Właśnie ta zmiana przekonała mnie, że jéj stan jest niebezpieczny, a gdy jednego dnia łagodnym, prawie tkliwym głosem przywołała mnie do łóżka, i z wzruszeniem uścisnęła mi rękę, wtedym poznał, że się wkrótce z tym światem pożegna, gdyż od czasu naszego wesela, nigdy tak tkliwą nie była!

Dnia dziesiątego widział ją ptak złowieszczy już na katafalku!

»Toż wpan nie wyrzuciłeś za okno tego czartowskiego straszydła?« zawołałem prawie rozgniewany na zabobon gospodarza.

»Ach, wszakże ci *Signore* wiadomo, że mi margrabia ruszyć go zakazał.«

»Jeżeli tak«, odrzekłem, »więc ja zaklnę na przyszłość, wszelką złą wróżbę tego obrazu, i z téj izdebki wszystkie czary wygonię!«

»Ach nie bluźń *Signore*«, rzekł gospodarz przestraszony, A ja mu na to odpowiedziałem, że się tego piekielnego sępa mniéj obawiać mogę, niż kto inny, gdyż nie jestem ani fantastem, ani uczonym, ani zakochanym.

Gospodarz mój byłby zapewne historyję o złowieszczym ptaku jeszcze o kilka rozdziałów przedłużył, gdyby rozkaz dzienny, nagłéj zmiany był nie sprawił.

Musieliśmy spieszno wyruszyć z załogi i wystąpić naprzeciw nieprzyjacielowi, który zaczépną wojnę rozpoczął. Z zatrzymaniem naszych kwatér, wyszliśmy z miasta, ale nie wiele mieliśmy pracy w téj wyprawie. W przeciągu kilku tygodni, zdrowi i nieuszkodzeni, śród radosnych okrzyków ludności, wróciliśmy na dawne nasze stanowisko.

Gospodarz mój powitał mnie z radością. Nie był on jeszcze z swojéj manii uleczony, a gdym wszedł do mojego pokoju, wskazując na obraz, rzekł: »Witam *Signor* porucznika! Jak widzę, ten złowieszczy ptak, nic mu nie zaszkodził!«

* * *

Piérwszego tygodnia po naszym powrocie, brygadyjer nasz dał świetną ucztę, na którą cały korpus oficerów i urzędników miasta był zaproszony. Między gośćmi panowała z początku niejaka oziębłość, lecz skoro szampan trzykrotnie poszedł koleją, już ściskali sobie prawie wszyscy po bratersku dłonie. Na zakończenie uczty, wzięła wesołość górę, i każdy odszedł w różowym humorze, a ja cieszyłem się serdecznie, że piękny dzień ten spokojną nocą zakończę. Z rozmarzoną cokolwiek głową powróciłem do mojego pokoiku, a lubo snu spragniony byłem, spojrzawszy jednak na mego szkaradnego stróża na ścianie, roześmiałem się z pustoty, i życzyłem mu spokojnéj nocy. Poczém nierozebrany rzuciłem się na łóżko i zasnąłem jak zabity.

Nie wiém jak długo spałem, lecz obudziwszy się nagle, uczułem, że byłem słaby. Zimna dreszcz na skróś mnie przejmowała, krew zaczęła bić do głowy, a zimny pot wystąpił na czoło; twardy sen, któremu się z początku oprzéć nie mógłem, już mię nie owładał, a na miejsce jego, nastąpiła jakaś trwożliwa niespokojność, która mi już zasnąć nie dała. Sądziłem, że słabość moja z tąd wynikła, żem po tak sutéj uczcie, całkiem nierozebrany, spać się położył, i właśnie chciałem się zerwać z łóżka, gdy oto okropny zawrót głowy powalił mnie znowu. Księżyc świécił jasno, i tak rażąco oświetlił złowieszczego ptaka, żem po raz piérwszy uczuł wstręt od niego. Trzymając w nim oczy, usiadłem na łóżku, i wtedy zdało się mi, jak gdyby się zwolna ruszał, oraz słyszałem głuchy szum pod sobą, i jakieś trzeszczenie w około, jak gdyby się ściany z swoich węgłów wypiérały. Zerwałem się na nogi, zbudzić służącego, lecz głos zamarł mi na ustach; nagły, trzykrotny huk, połączony z łoskotem, podobnym do ciężkiego po bruku jadącego wozu, cisnął mną znowu na łóżko. W tymże samym czasie zdawały się wyginać i rozstępować ściany; złowieszczy ptak zaczął jak diablik skakać okropnie po ścianie; tafle u okien brzęczały, jak gdyby je wiatr południowy do pokoju chciał wtłoczyć, łóżko moje chwiało się jak kolébka, a całe okropne to zdarzenie trwało tak długo, ażem odzyskał zupełnie zmysły i przekonał się, że to—było: straszne trzęsienie ziemi! Gwar ludzi na ulicy utwierdził mnie w mojém mniemaniu. W czasie, gdym się schronił pode drzwi, które w tak nagłym przypadku za najbezpieczniejsze miejsce miałem, dał się słyszéć żałosny jęk i płacz z ulicy, przerywany głuchym hukiem do gromu dział podobnym, albo do łomotu gmachów, które się na głowy swych mieszkańców waliły! Dodajmy do tego szum, tętnienie i hurkot podziemny, rozruch i uderzenie na gwałt we wszystkie dzwony, brzęk i dygotanie trzęsących się okien, a będziemy mieli dokładne wyobrażenie tego przypadku!

Nie przypominam sobie w całém mojém życiu okropniejszéj chwili, którąby mnie takim strachem ogarnęła. Stojąc pod sklepieniem u drzwi, wiodących do przedsionka sali, dygotałem na całém ciele, i nie zdolny ruszyć się z miejsca, utopiłem prawie machinalnie wzrok w szkaradnego ptaka, który w téj chwili tak mocno zajął moję, aczkolwiek dość niegdyś zimną wyobraźnię, żem już sądził, iż za najpiérwszém uderzeniem, złowieszczy sęp spuści się z ściany, i w bijącém mojém sercu, swoje szpony zatopi! Cała natura zdawała się zostawać w okropném rozprzężeniu, jeden tylko księżyc patrzył jasném, pogodném okiem na konwulsyjne dygotanie swojéj siostry!

Zresztą człowiek przyzwyczaja się do wszystkiego, a więc i ja w kilku chwilach jużem mniéj zważał na okropność położenia mego i spojrzawszy około siebie, ujrzałem mojego służącego, który wylękniony i blady, z zapaloną latarką w ręku, przy drugim rogu drzwi, stał w kącie skulony. Na widok jego, pomimo własne niebezpieczeństwo, musiałem się roześmiać, chociaż czas nie był po temu. Jestto zaiste rzeczą dziwną, jak się nagle w potrzebie wzmaga w nas odwaga, skoro obok siebie ujrzymy kogoś, choćby on był tchórzem największym. Pomimo nieustanne chwianie się podłogi pod mojémi nogami, zbiegłem z pośpiechem ze służącym po wschodach, i zastałem przed domem na ulicy pośród jęczących niewiast i dzieci, mojego gospodarza, który w długiéj, nocnéj koszuli, otoczony podobnież ukostiumowanymi sąsiadami, w saméj rzeczy do nocnego upiora był podobny! Na widok tylu duchów cielesnych, ocknęła się znowu we mnie odwaga tak daleco, że ja, który niedawno, czego zaprzeczyć nie mogę, drżałem jak listek osikowy, zacząłem teraz uspokajać jak anioł pocieszyciel, tych wszystkich, którzy się rozpaczy podawali!

Wstrząśnięcie ziemi ponawiało się jeszcze kilkakrotnie aż do samego świtu, nie zrządziwszy jednakże znacznéj szkody. Jako zbawca w téj trwodze, błysnął dzień na wschodzie piérwszym brzaskiem swoim, co na obecnych zbawienny skutek wywarło. Tymczasem po wszystkich ulicach miasta przeciągały processyje, pośród których ze wszystkich kościołów obnoszono uroczyście cudowne obrazy Świętych. Zagrzmiały bębny, i cała załoga stanęła pod bronią. A żem ja od dnia poprzedzającego nie zdejmował z siebie munduru, stanąłem więc piérwszy na placu, i wkrótcem połączył się z nadchodzącymi towarzyszami, z których ani jeden nie poniósł szkody, a tak, śród rozmowy nadszedł dzień biały.—Natura zdawała się znowu odzyskiwać dawną spokojność, a cała ludność dziękowała Bogu z najszczérszą radością za ocalenie swoje, chociaż jeszcze zawsze zostawała w obawie. Aż dopiéro około połdnia, gdy trzęsienie ziemi całkiem ustało, a słońce, jak zwykle na pogodném świéciło niebie, uspokoiły się tłumy ludu i rozeszły do dziennéj pracy.

Gospodarz mój nie posiadał się z radości, żem nie wezwany, sam do niego na obiad się zaprosił, co jedynie dla uspokojenia go uczyniłem.

»Teraz przekonaj się *Signore*«, rzekł do mnie, »że ziomkowie moi także coś rozumieją!« To rzekłszy, wyjął z kieszeni jakąś lichą książeczkę. »Jeszcześmy nie uszli niebezpieczeństwa! Przeczytaj *Signore*, co nas za ośm dni czeka.«

Wziąłem książeczkę do ręki i przeglądnąłem pobieżnie. Byłto tak zwany *Casamia*. Pod tym napisem wychodzi w mieście Faenza kalendarz roczny, który zwykle ma nazwisko swego wydawcy. Do każdego miesiąca dołączona jest uwaga zawiérająca bądź przepowiedzenie odmian powietrza, bądź jaką wiadomość gospodarską, bądź téż doniesienie o jakiém ważném zjawisku natury. Otóż do dnia, który nas tak wielkim strachem nabawił, dołączona była uwaga: *Un gran miracolo!* Jakoż w saméj rzeczy wielki się dziw wydarzył, którego skutki w drżeniu naszych członków jeszcze się czuć dawały. Z wyrazem najokropniejszéj pewności wskazał mi drżącym palcem gospodarz mój: *Ancor un gran miracolo*, rzekł: »Teraz wiémy, że nas za ośm dni takież same nieszczęście czeka! Nasz *Casamia* jest człowiek, na którego spuścić się można!«

Cóż było przeciw temu powiedzieć, razem z nim prawie wszyscy mieszkańcy byli tegoż samego zdania; gdyż kalendarz Kazamii jest tam wszędzie upowszechniony, a po niektórych domach prawie jedyną książką, które z uwagą czytają. Wyznaczony czas był za krótki, by rozwagą zatrzéć wrażenie, jakie popularny astronom i fizyk sprawił swojém piérwszém przepowiedzeniem. Spodziéwano się niezawodnego nieszczęścia, a wzajemném wmawianiem w siebie, podawano się w stan prowizoryczny, który z każdym dniem przykrzejszym się stawał. Smutek opanował wszystkie umysły. Czyniono trwożliwe przygotowania: ludzie, którzy przedtém bynajmniéj o śmierci nie myślili, rozporządzali swym majątkiem; pisano testamenty, załatwiano spory, jednano się z nieprzyjaciołmi, rozdawano jałmużny, wnoszono środki ochrony, i z fanatyczną żarliwością gniewano się na tych, którzy temu się sprzeciwiali.

Tym sposobem i ja nie mógłem się sprzeciwiać memu gospodarzowi, chociaż wielką do tego miałem ochotę. Nawet ten wypadek, że

podczas ostatniego trzęsienia ziemi złowieszczy ptak spadł ze ściany, i że szpetny swój dziób u rogu mego łóżka znacznie sobie uszkodził, żadnego na nim nie uczynił wrażenia.

Złowrogi dzień, w którym się to straszne trzęsienie ponowić miało, zbliżał się coraz bardziéj. Przygotowania w mieście posuwano prawie do ostateczności, a chociaż ja sam dawałem wiarę, że ta wróżba spełnić się może, nie mógłem się jednak wstrzymać od śmiéchu, patrząc na to, jak jedni drugich trwogą nabawiać umieli.

Ponieważ żaden przypadek nie jest tak okropnym, by oszustów, łotrów i złośliwych, od haniebnych zamiarów mógł odstraszyć, dla tego komendant nasz uznał za rzecz potrzebną mieć w dniu oznaczonym na pogotowiu wojsko; rozkaz dzienny opiéwał: »Przez noc całą aż do drugiego dnia z-rana, mają wszystkie wojska stać na dziedzińcu swych koszar i być ze wszystkiém do pochodu w pogotowiu. Na każdym rogu ulicy rozstawione będą dwie pikiety konnicy, by w przypadku jak najspieszniéj posłać można oddział wojska w tę stronę, gdzie tego potrzeba wymagać będzie. Aby nie dać pozoru obawy z naszéj strony, wmiesza się pomiędzy publiczność jeden oficer z każdego oddziału wojska, drudzy zaś przy swoich pułkach pozostaną. O wszystkich tych środkach należy zachować jak najgłębsze milczenie.«

* * *

Nakoniec nadeszła noc zapowiedziana, w któréj spodziewano się najokropniejszego zdarzenia. Rozjaśniono ulice pochodniami; po domach nikt nie kładł się do łóżka; wszyscy byli w pogotowiu, by za piérwszym znakiem niebezpieczeństwa, schronić się na wolne, bezpieczne miejsce. Kto miał sposobność po temu, wyjechał już naprzód na wieś, gdzie podobne wypadki dla odosobnionych gmachów, mniejszém niebezpieczeństwem zagrażają. Po wszystkich ulicach panowało ponure, u gadatliwych Włochów, rzadko zdarzające się milczenie; nie widziałeś jak tylko trwożliwe posępne spojrzenia, blade twarze, nie słyszałeś jak tylko głośne modły, a najznajomsze twarze były tak zmienione, iżbyś rzekł, żeś na karnawałowym balu, gdzie wszystko jest w masce i snuje się w największym nieładzie.

Z największą trwogą oczekiwany dzień zaświtał nareszcie, a z nim wstąpiła niejaka otucha w udręczone serca. Pogodne, błękitne sklepienie nieba, promieniem słońca rozjaśnione, rozpostarło się nad całém miastem; wszystkie barometry, u których rady zasięgano, wzniecały w nas pociechę; ale cóżto wszystko pomogło, kiedy *Casamia* przepowiedział *gran miracolo*, a przepowiednia jego z-iściła się przed ośmią dniami. Dla tego nikt nie ważył się powątpiéwać o jego wróżbie. Obawa nie dała spoczynku; zamieszanie, trwożliwe krzątanie się po ulicach, zamieniło się w formalne *corso*, w nieustającą bieganinę i przejazdkę, ciągnącą się od *Teatro nuovo* przez całe miasto aż po-za przedmieście *Prato dei fiori*, które piękną swoją płaszczyzną dla wszystkich było punktem zgromadzenia. Z posuwającym się dniem posuwała się ufność w sercach, wypogadzały się czoła; usta odzyskiwały mowę; zaczęto mieć nadzieję, i uniewinniać swą obawę.

Będąc jednym z tych oficerów, którzy otrzymali rozkaz wmięszania się pomiędzy publiczność, zająłem stanowisko na wymienioném *Prato* i nie myśląc już o przepowiedzianém *miracolo*, oparłem się spokojnie o drzewo, gdy mię naraz wielki zgiełk z mego zadumania przebudził. Widząc przed sobą tłumem uciekających i na różne strony z wrzaskiem rozpiérzchających się ludzi, słysząc ponury turkot po bruku, którym *Prato* był wyścielony, piérwszéj chwili mniemałem, że zapowiedziane trzęsienie ziemi w saméj istocie już się zaczyna. Ale oglądnawszy się z pośpiechem, ujrzałem z niemałą trwogą, co było przyczyną tego nagłego zaburzenia. Cztéry spłoszone rumaki jak dziki wicher unosiły powóz, w którym jakaś niewiasta wołając przeraźliwie o pomoc, załamywała ręce; za nią biegł opodal z skrwawioną twarzą, pyłem okryty mężczyzna, który jak się domyślać należało, był wypadł z powozu. Nie było czasu do długiego namyślania się; dobywszy śpieszno szpady, poskoczyłem co duchu na przeciw zhukanym koniom i uderzyłem lejcowe w rozdęte nozdrza tak silnie, że szpada moja w kawałki się rozleciała. Tém niespodzianém uderzeniem przestraszone, cofnęły się całą mocą na dyszlowe, które nie mogąc ich impetu wytrzymać, obaliwszy się na tylne nogi, pociągnęły za sobą na ziemię i dyszlowe. W téjże chwili przyskoczyło kilku na straży w pobliżu stojących kawalerzystów, i nim jeszcze splątane konie powstać mogły, już szablami szleje porozcinali. Jakby cudem ocaliłem z niebezpieczeństwa damę śród powszechnego okrzyku: *»Bravi Tedeschi!«* i wyniosłem ją omdlałą z powozu.

Była ona jak trup blada!, ale jak anioł piękna! Niebawem przybył i ów mężczyzna, który biegł za powozem, a po nim wkrótce i woźnica; obadwa nie doznali niebezpiecznego uszkodzenia. Dama przyszedłszy do opamiętania, rzuciła się z radosnémi łzami w objęcie mężczyzny, który ją swoją siostrą nazywał, a potém wskazała z najgłębszém uczuciem wdzięczności na mnie, jako na swego wybawcę. Brat do żywego tym wypadkiem wzruszony, uściskał mnie serdecznie.

Dama ta była córką znakomitego bankiera, która z bratem swoim, jako głowa domu, przejeżdżała się po *corso*, aby w przypadku trzęsienia ziemi ujść niebezpieczeństwa. Lecz zamiast przepowiedzianego przez *Casamia* cudu, wydarzył się cud inny, cud jej ocalenia!

* * *

W dni kilka, gdy się już miasto uspokoiło i obawa z serc wszystkich ustąpiła, otrzymałem przepyszną szpadę wraz z biletem, w którym mnie brat uratowanéj w najpochlebniejszych wyrazach, w dom swój zaprosił. Nie mogłem się oprzéć temu zaproszeniu i nazajutrz w zupełnéj gali, oddałem moje uszanowanie. Uratowana przezemnie dziéwczyna była osobą, którą natura i wychowanie, najpiękniejszémi darami uposażyły. W krótkim czasie stałem się w ich domu gościem codziennym, i, czegom się po mojéj zimnéj fantazyi nigdy nie spodziéwał, lubéj Adelii zapalonym kochankiem. Wkrótce poznały się serca nasze; Adela kochała mnie, a brat się zgadzał na to. Skoro pokój nastał, odbyło się nasze wesele.

»No, kochany *Sior Moscito*«, rzekłem do mego gospodarza, gdy już ożenienie się moje całemu miastu tajemnicą nie było. »Wasz *Casamia* słusznie przepowiedział *gran miracolo*, gdyż ja, ubogi żołniérz, zaślubiłem sobie żonę, nietylko bogatą, ale i rzadkiéj piękności!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 8 i obejmuje: 1) O użyciu i skutkach nawozu stajennego. (Dokończenie). 2) Spasanie łąk do późnéj wiosny tudzież i jesieni, nie małe w gospodarstwie powoduje szkody. 3) O przerobieniu kartofli na mąkę i osiągnienia z nich wyższych korzyści. 4) Wiadomości czasowe.

W drukarni Józefa Schnajdera we Lwowie, opuścił prasę drugi tom Kazań księdza Dawida Dawidowicza, składający się z szesnastu i pół arkusza. Zaczęto drukować trzeci tom tychże kazań, po którego wydrukowaniu najdaléj w połowie maja b. r. należące panom prenumeratorom egzemplarze w okładki oprawione odesłane będą. W przeciągu tego czasu jeszcze się przyjmuje prenumerata w cenie na początku wymienionej, to jest: 2 złr. 30 kr. mon. kon.

Nowy środek ochrony przy kolei żelaznéj. Doktor Bachoffner odczytał dnia 28go stycznia w instytucie politechnicznym w Londynie opis elektromagnetycznéj kontroli kolei żelaznéj (*Electro-magnetic Railway-Train Controller*), którą on sam w połączeniu z drugim mechanikiem wynalazł, i na którą już obadwaj przewiléj swobody uzyskali. Działającą w tym wynalazku siłą jest elektryczność, a zastosowanie jéj odbywa się za pomocą elektro-magnetyzmu. Płyn galwaniczny ma tu zabezpieczać od przypadku, na jakie powozy zwykle są wystawione, a to uskuteczni się przez pociągnienie wzdłuż całéj kolei pomiędzy szynami żelaznego drutu, na którym lokomotyw z bateryją galwaniczną, i tak rzeczona machina sterująca z magnesem elektrycznym w ten sposób umieszczone będą, że pomiędzy jednym i drugą, za pomocą zgiętych i po żelaznym drucie pomykających się sprężyn, elektryczny związek utrzymywany będzie. Machina sterująca, bardzo mała i słaba wyprzedza na znaczną przestrzeń wszystkie powozy z osobami albo towarami jadące. Jeźli takowa spotka nieprzewidzianą zawadę, natychmiast ustaje eletryczny związek z lokomotywem, a skoro to przewodnik tegoż ostatniego spostrzeże, zapobiegnie zawczasu zbliżającemu się niebezpieczeństwu. Jednakże gdyby przewodnik lub też jego towarzysz nie postrzegł téj przestrogi, wtedy przerwanie płynu woltaicznego nada taki ruch mechanizmowi, że para uleci, a machina w biegu się zastanowi. Jeżeli się wydarzy, jak dotychczas bywało, że się ziemia usunie, a to albo pomiędzy machiną sterującą i lokomotywem, albo téż przed niémi z przodu, i wtedy nie zagrozi żadne niebezpieczeństwo, a nawet gdyby przez niedbałość i niedozór w otwartych miejscach po kolei żelaznéj bydło przechodziło, przerwana z tego powodu elektryczność oznajmi przewodnikowi o tym wypadku.

Proces literacki. Już od trzech miesięcy zwraca uwagę proces dziennika *la Presse*, wytoczony przeciw hrabiemu Courchamps za to, że przepisał i jako oryginał sprzedał redakcyi rzeczonego dziennika powieść, którą hrabia Potocki przed dwudziestą siedmią laty drukiem ogłosił. Adwokat dziennika *la Presse* zażądał za to nadużycie zaufania 25.000 franków, a prokurator królewski zaproponował 10,000 franków kary. Przy téj sposobności dowiadujemy się także, jak wielkie *honoraryja* dzienniki paryzkie płacą znakomitszym autorom francuzkim. I tak: Balzac za sześć feuilletonów wiejskiego kapelana otrzymał 3,000; Scribe za powieść *Judyty* 2,000; Lamartine za feuilleton, a do tego w wiérszach, które już wszędzie z mody wyszły, znaczną kwotę 1,000; Eugen Sue, za ogłoszenie swego ostatniego romansu pod nazwą: *Matylda* 7,000 franków. A przecież tą kwotą jeszcze nie zapłacono dzieła, gdyż nakładnik, który z dziennika jaki romans przedrukowuje, prawie takież same *honoraryjum* autorowi zapłacić musi; lecz nie dość na tém, autor otrzymuje jeszcze znaczną *remuneracyję* od pomniejszych dzienników, za pozwolenie przedrukowania pojedynczych powieści swego pióra. Z tąd widać, że autorowie francuzcy piérwszéj klasy, mogą nietylko wystawnie żyć w Paryżu, ale nawet majątek zebrać, co się nawet istotnie dzieje.

Słów kilka o febrze afrykańskiéj. Z powodu niepomyślnych, niedawno nadeszłych wiadomości o wyprawie nad Nigrem, która na niczém spełzła, jeden z lékarzy angielskich umieścił w dzienniku *Times* z dnia 20go stycznia b. r. list, zawiérający niektóre trafne uwagi, dotyczące się zaraźliwości *Malaryi*, febry błotnéj, morowego powietrza, czyli jakkolwiekbądź lékarze te choroby mianują. Autor listu zmierza swoją teoryją do tego, że się ta choroba nie przez wciąganie w siebie powietrza i przez płuca, lecz przez wrażenie na powierzchnią całego ciała udziela. Tym sposobem mieszkańce Afryki i innych stref gorących zabezpieczają się od tych chorób namaszczaniem ciała oliwą albo jaką inną tłustością, gdy przeciwnie Europejczykowie, którzy ciało swoje myją i czyszczą, zapadają na nie i umiérają. Na poparcie swej teoryi przytacza on, że w Turcyi osoby zajmujące się handlem oliwy, w czasie morowego powietrza od wszelkiéj zarazy są wolni, i że w Londynie podczas morowego powietrza, jak wiadomo, żaden mydlarz nie umarł. Radzi autor, aby tam, gdzie *Malaria* grasuje, suknie rano i w wieczór palmową oliwą napuszczano.

Trzy Parki w Paryżu. Alfred de Vigny, znany autor wielu pism beletrystycznych, stara się obecnie o opróżnioną posadę w akademii paryskiéj, a jako spółzawodnik jego wystąpił 75 lat mający wielki kanclérz Pasquier, który w życiu swojém nigdy nic nie pisał, ani drukował, a zatem podobnie jak wielu z politycznego świata obranych członkami magnatów ani do umiejętności ani do poezyi żadnego prawa rościć sobie

nie może. Z tego powodu dziennik *National* z dnia 21. stycznia, umieścił artykuł pod nazwą: *Trzy Parki*, tém imieniem oznaczył trzy podeszłe damy, które swoim wpływem i podstępami już od kilku lat akademiczne krzesła rozdawały. Zagraża on, że wymieni prawdziwe ich nazwiska i wykryje podstępy, jeżeli pan Pasquier za ich wpływem członkiem akademii zostanie.

Napoleon i Göthe. Zdanie, jakie Napoleon wydał o Göthym podczas piérwszego zejścia się z nim w miesiącu wrześniu 1808, mówiąc: »*Vous êtes un homme*«, jest dla obudwóch równie zaszczytne. O *Machomecie* Woltera, o którym przy téj sposobności Daru nadmienił, rzekł Napoleon, że ten dramat jest lichy, i wyłożył obszérnie, jak nieprzyzwoicie w nim zdobywca świata, sam siebie skréślił. Potém zaczął rozmowę o *Werterze*, którego, zdawało się, że całkiem zgłębił. Czynił Göthemu różne, bardzo ważne zarzuty, poczém wytknąwszy niektóre wady w dziele, rzekł do Göthego: »Czemuś wpan w ten sposób sobie postąpił? Wszakto nie zgadza się z naturą«, co potém obszérnie i zupełnie trafnie dowodził. Göthe uniewinniał się tém, iż poecie przebaczyć można, jeżeli przebiegiem, który trudny jest do odkrycia, stara się sprawić skutek, jakiegoby prostą, naturalną drogą, nigdy nie osiągnął. Cesarz zdawał się być zadowolonym tą odpowiedzią i przytoczył jeszcze niektóre bardzo ważne uwagi, jako człowiek, który się z największą uwagą prawie jak sędzia kryminalny, na scenę traiczną zapatruje, przytém oświadczył także, iż zupełnie jest przekonany, że teatr francuzki od natury i prawdy się oddalił. Z tego powodu nie pochwalał także trajedyj, w których przeznaczenie pasmo czynów zadzierzga. Trajedyje te, podług niego, należały do zamierzchłych wieków. »Po co teraz«, rzekł, »przeznaczenia? Polityka jest przeznaczeniem!«

W Peschacrnr, okryta jest ziemia przez cały rok kwitnącemi roślinami. Wydaje ona trzy żniwa, a jeżeli w to policzymy i jęczmień, który przed rozwiciem kłosów, dwa razy wypasają, nawet pięć żniw rocznie. Pszenicę i jęczmień zwykle tam jeszcze w kwietniu dojrzałe zżynają.

Na wyspach Morza Południowego znaleźli podróżni paproć wielkości drzewa. Head spomina o płaszczyznach zarosłych głogiem na dziesięć stóp wysokim, który jak las wyglądał i na opał był używany. W Auenos-Byres rośnie na niektórych miejscach konicz tak wysoki, że wyżéj człowieka sięga.

Do najokropniejszych zjawisk w Londynie, których przyczyną niedostatek żywności, należy wzmagające się codziennie dziecio-bójstwo i śmiertelność dzieci głodem umorzonych. W ciągu jednego roku umarło w Anglii 7,888 dzieci, niemających jeszcze spełna roku i pochodzących po większéj części z biédnej klasy ludu.

Zwyczaj barbarzyński. Do wielu barbarzyńskich zwyczajów, które w Indyjach jeszcze po dziś dzień istnieją, policzyć można także następującą uroczystość religijną. Z drzewa pomalowanego różnémi kolorami urabiają tam co trzeci rok nowego bożka *Jajanat*. W tym zamiarze szukają w lesie takiego drzewa, na którym nigdy drapieżny ptak nie usiadł. Znalazłszy je po pewnych sobie wiadomych znakach, ścinają, i wyciosawszy bożka, oddają kapłanom do poświęcenia. Gdy się to stanie, wtedy zanosi go do świątyni człowiek, któremu jednakże po skończeniu tego uroczystego obrzędu, długo żyć nie wolno. Jeszcze przed upływem roku musi on zejść z tego świata, i tylko co do rodzaju śmierci, wolny wybór mu pozostawiają.

Przebieg szlachetny. Niedawno umarł w Badenie jenerał dywizyi, baron Lingg de Linggenfeld, którego postępek w Heresfeld zasługuje, aby o nim spomniano. Miasto Heresfeld nad Fuldą, w Elektoracie Heskim, ściągnęło było na siebie gniéw Napoleona zabiciem jednego z oficerów francuzkich. Napoleon stojący podówczas w Polszcze, zawiadomiony o rozruchach pojawiających się w niektórych okolicach niemieckich, postanowił dla przykładu strasznie ukarać to miasto, i rozkazał zrabować je i w perzynę obrócić. Jednakże na prośbę dowódców Kasselu i Heresfeldu za mieszkańcami, którzy do tego zabójstwa nie należeli, złagodził karę w ten sposób, iż miasto miało być wprawdzie zrabowane, ale tylko cztery domy spalić rozkazał. Działo się to w miesiącu lutym 1807 r., gdy od Napoleona drugi rozkaz nadszedł. Badenski podpułkownik Lingg, który podówczas jako dowódca strzelców stał w Heresfeldzie, otrzymał rozkaz wykonania téj kary. Zacny ten mąż pragnął ocalić nieszczęśliwych mieszkańców; z tém wszystkiém powinność żołniérska nakazywała mu posłuszeństwo. By dogodzić swojemu sumieniu i powinności żołnierskiéj, użył następującego przebiegu: Gdy wybiła straszna godzina, a odgłos grzmiącego bębna zapowiedział struchlałym mieszkańcom blizkie niebezpieczeństwo, stanęli wszyscy strzelcy w szeregach, a po całém mieście rozległ się krzyk uciekających. Lecz cóż się dzieje? Oto szlachetny dowódca występuje przed széregi żołnierzy, i skréśliwszy im nieszczęśliwy stan Heresfeldu, gdy spostrzegł, że tkliwemi wyrazy zmiękczył ich serce, rzekł: »Żołnierze! teraz wolno wam iść rabować. Kto ma ochotę, niech wyjdzie z szeregu!« Nastąpiła uroczysta cisza; — wszyscy strzelcy stali jak wryci. Dowódca powtórzył odezwę, ale ani jeden z nich nie wystąpił z szeregu!

Mozart w Paryżu. Mozart bawiąc w Paryżu, zajmował się napisaniem opery: *Don Juan*. Jednego dnia pracując przez kilka godzin w pokoju, spojrzał na zegarek. »Co, już piąta godzina?« O téj godzinie miał zwyczaj artysta jadać obiad. Ubrawszy się więc czemprędzéj, poszedł do restauratorni w *Palais Royal*; ale po drodze zabłysnął mu nowy pomysł, który go tak mocno zajął, że tylko machinalnie przejrzał spis potraw, który mu podano, poczém rzekł: »Rosół z makaronem!« Dano rosół, ale artysta ani go tknął. Upłynęło minut kilka, nareszcie kwadrans, a w czasie gdy myśl jego bujała po wysokich sferach ideału i poezyi, nie spostrzegł, że tymczasem rosół wystygł. Po upływie pół godziny, przerwał znowu milczenie: »Smażonego szczupaka!« Posługacz zebrał ze stołu rosół, a natomiast postawił szczupaka, ale i ten nie zaostrzył apetytu. W ten sposób żądał i otrzymał artysta sześć potraw jednę po drugiéj. Posługacz zdziwił się tém szczególniejszém postępowaniem swego gościa; ale nie śmiał mu ani słowa powiedzieć, gdyż sądził, że cierpi pomieszanie. Tak upłynęło dwie godzin; artysta oparłszy na ręce głowę, zanurzył się w głębokie zadumanie. Nakoniec nagle z dumą podnosi czoło, lice jego ogniem płonie, a z oczu błyska mu radość i uszczęśliwienie; płaci posługaczowi za obiad, i wyszedłszy z sali, rzecze sam do siebie: »Przecież znalazłem! Dzięka Bogu!« Jakoż w saméj rzeczy, Mozart wynalazł w téj chwili finał do ostatniego aktu opery: *Don Juan*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.